

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 41. Numeru: „Do R..... M..... przez M. Czajkowskiego. — Dzierżawca, przez Kruszeńskiego. — Szajna Katarynka. — Prelekcje Mickiewicza, Przegląd: Poeta i Świat. — Nowiny literackie.

Do R..... M.....

przez

Michała Czajkowskiego.

Nie szkaplerze, nie rozańce wiozę pani ze świętego miejsca, ale szpilkę, i proszę, żebyś posłuchała mego gadania.

Byłem w Rzymie i na darmo szukałem dawnych Rzymian. — W Kolizeum wołałem Sylli, Cezara, a przynajmniej zapaśnika jakiego, i przystąpił do mnie żołnierz z bronią na ramieniu — wyciągnął rękę. —

Bajoka — Bajoka — umieram z głodu. —

Rzuciłem mu pieniąż i pogardę w jałmużnie — o bolesna to rzecz w Rzymie Cezara, widzieć żołnierza Rzymianina żebrakiem. — Po gruzach gmachów cesarskich deptałem, i poglądałem okiem, czy nie ujrzę gdzie spiskującego Katylinę — na darmo — tam czyhało kilku złodziei nocnych — ich było kilku — ja byłem jeden. — Oni mieli broń — ja i kija nie

miałem. — Szedłem wprost do nich. — Nie żelazem mnie witali, bom piersi i oczy ku nim wystawił, — ale powyciągali ręce. —

— Bajoka! Bajoka! — umieram z głodu. —

Rzuciłem pieniądże i przekląłem lud, który i na zbójcę śmiałego zdobyć się nie może. — Pomodliłem się — O Boże, zachowaj nas od takiego złego. —

Włóczyłem się po gruzach starego Rzymu, i głodny duszą, a bolejący sercem, wszedłem na Transtawerę. — Tam wśród niewiast, co pozorem dumę dawnych Rzymianek przechowały, co przynajmniej wprzód nabawią się ciskaniem hardych rzutów oka — nim po bajoka wyciągną rękę — Spostrzegłem staruszkę w podartych szatach, różnobarwemi szmatami łatanych — wychudłą, wymizerniałą na twarzy, chwiejącą się w chodzie. — I ona ani zaszemrała ustami, ani wyciągnęła ręki po jałmużnę. — I wszystkie dziewice — i wszyscy mężowie, a nawet i dzieci przed nią się kłoniłi — jak gdyby oni byli dawni Rzymianie, a ona matką Grachów. —

Ciekawość mnie wzięła — pytam — kto

ona? — Odpowiadają mi — Matka Ostatniej Rzymianki. — Chciałem iść za nią, prosić, by mi opowiedziała, kto była jej córka — ale bałem się ranić matczyne serce. — Człowiek jakiś czerstwy wiekiem, choć już podstarzały latami, zgadł moją chęć, i za kilkadziesiąt bajoków — zaczął opowiadać przygodę Ostatniej Rzymianki.

Tu na Transtawerze, wtenczas, kiedy Korsykanin panował nad Francją, i pół światem — była uboga dziewczica — córka tej staruszki, coś widział. — Uboga była w ród i dostatek, ale bogata w krasę ciała i w dumę duszy. — Gdybyś ją widział, rzekłbyś, że to córka jakiegoś patrycyusza — co zarówno pogardza królem cudzoziemcem, niosącym w dar, potężnemu Rzymowi przyjaźń, przymierze i spuściznę — jak niewolnikiem zdobytym żelazem, lub kupionym za złoto. Gdybyś ją widział, rzekłbyś, że Dyana rzuciwszy łowy na zwierza, zbiegła z Pontyńskich bagien, i dla zabawki przyszła łowić serca rzymskiej młodzi — taka była dziewczica jej krasa. — Biała Alba — kwieciste Dżensano. — Subjago sławne z kraszy niewiast, nie miały takiej dziewczicy, jak ona. — Ale przy Dyany krasie nie miała okrutnego serca Dyany. Kochała młodzieńca Rzymianina, pięknego jak Apollo, a na oko hardego, jak Horacyusz Kokles, jak Muciusz Scevola.

Wtenczas w starym Rzymie nie sami księża chodzili z processyami, jak dziś. — Nie sami żebracy wyciągali ręce po bajoki, — ale zbrojne hufce Gallów napłynęły na Romulusa grod — Tu w Rzymie panował Korsykanin, a namiestnik Boży, następca Piotra, modlił się tylko. —

Gallowie ufną w moc Korsykanina, jak w moc Bożą — pijani zwycięztwami, a chętni w ze krwi i z rodu — rzekli:

— Rzymianie — domy wasze — dostatki wasze — niewiasty i dziewice wasze — to wszystko nasze — myśmy tu panowie, a wy niewolnicy.

I Rzymianie chylili karki jeszcze niktzem-

niej, jak przed Attylli, jak przed Genseryka żołdactwem — niktzemniej, bo tamto były źżikie hordy — pod dzikim wodzem — a tu wielki naród, pod wielkim panem. —

Jednego dnia na Transtawere, ot' tu koło tego domu, przy rogu ulicy, stała dziewczica, córka tej staruszki. — Okiem żałoby patrzyła na Rzym, — swoją ojczyznę — i od czasu, do czasu za każdym przejściem Galla wzdychała i pozierwała na młodzieńca kochanka. — On stał obok niej, wzrokiem rzucał do koła, a rękę trzymał zanadrem, — czy zbolale serce przyciskał, czy zabójczy nóż pogłaskiwał. — We wzroku i na twarzy jego była wielka miłość i wielki niepokój. —

Wtem nadszedł Gall ze starszą, młody, wiotki, wesoly — zwyczajnie Gall — złotem okapany! brzęczał bronią i ostrogami — w ręku jak dla igraszki wywijał małym pięcikiem — Stanął naprzeciw dziewczicy, i patrzył na nią jak w tęczę. — Ona zarumieniła się i spuściła oczy ku ziemi. — O! nie był to rumieniec złotny — ale rumieniec sromu Rzymianki. — Młodzieniec kochanek to zrozumiał, wychwycił nagi nóż z zanadru, i podniósł do góry, na postrach Gallowi. — Gall się uśmiechnął, jak z grozy dziecka, postąpił naprzód, podniósł pręt na skaranie Rzymianina. — Dziewica chciała stanąć między nimi i Galla i kochanka ocalić. — Ale kiedy zobaczyła, że młodzieniec kochanek, jak niktzemnik jaki uciekł — nie biegła za nim, lecz porwała za szpilkę z włosów — za taką, jaką dziś widzisz u każdej Transtawerzanki — ręką szybszą jak błyskawica w samo serce pchnęła Galla. Gall boleśnie krzyknął, zachwiał się i upadł.

Zbiegli się Gallowie, zbiegły się i Rzymianki. — Gallowie szabel dobyli i nieśmieli rąbać. — Rzymianki szpilki miały w rękach i gotowe były niemi szukać serca Gallów. — Ale żaden Rzymianin nie przyszedł im ku pomocy, wszyscy pouciekali, albo patrzyli z daleka, jak na jakie ciekawe widowisko. —

Dziewica bohaterka, zbliżyła się ku starszemu Gallowi, rzuciła mu szpilkę. —

— Gall znieważył Rzymianina. — Rzymianka go pomściła. — Teraz mścij się. — Koniec Rzymowi. —

Z jękiem niewiasty odezwały się: — Koniec Rzymowi. — A mężczyźni milczeli. —

Młodzieńca kochanka ani widno było.

Nie jak zbrodniarkę jaką, ale jak panią Rzymu, starszy Gall poprowadził dziewicę — i w całym Rzymie mówiono: to ostatnia Rzymianka. —

Nazajutrz pogrobowe dzwony dzwoniły w Kwirynale — dziewica umarła — trucizną zakończyła życie. — Gallowie ciało dziewczę, jak ciało bohaterki pogrzebali — szpilkę matce na pamięć oddali. — Uczlili rzymską cnotę — a Rzymianie czcić jej nie umieli.

Zapytałem —

A tyś nie Rzymianin? —

Zchmurzył czoło.

— Rzymianin, o! nie, jam Korsykanin. —

— Cóż się stało z młodzieńcem? —

— Jeśli żyje, musi gdzieś rękę po bajoka wyciągać, srom do sromu dorzucać. —

Pożegnałem Korsykanina, wszedłem do świątyni Bożej, modliłem się. — Boże zachowaj, żebyśmy dzisiejszymi Rzymianami nigdy nie byli.

Pani, noś szpilkę Transtawerzanki — módl się za duszę Transtawerzanki.

Na statku Sully dnia 28. Czerwca 1840.

WYJĄTKI SZLACHTOGRABIJ

J. J. Kraszewskiego.

S. S. DZIERZAWCA.

(Dokończenie.)

Z kilku jurysdatorów, z którymi miałem do czynienia, mówił dalej stary, jeden tylko był

pocziwy i sumienny; reszta bardzo zacni obywatele, ale nie daj Boże mieć więcej z nimi interesu. Brać pieniądze, brali, oddawać nie umieli. Byli tacy, którzy uczyniwszy kontrakt, mówili potem sami, że nie był ważny, bo nie formalny; gdy człek zaufawszy lotrom, sądził, że słowo szlacheckie najlepsza formalność. Na takich panów, trzeba, jak mówią, kosi na kamień, takiego, jak oni, żeby ich nauczył — nie rozumu — (tego nauczyć nie można, pomimo przysłowia), ale jak boli szelmostwo. Z tych wyrazów szlachcica poznałem, że go jeszcze bolały dawniejsze rany, odwróciłem więc rozmowę do dzierżawców, tracących na dzierżawach.

— Mówilem, ciągnął dalej, że są tacy, którzy tracą nie swoją winą, ale wolą Bożą, a jak stracą raz, ochota odpadnie, przywiąże się wyobrażenie jakiego nieszczęścia, a potem już tracą, a tracą do samego ostatku. Inni są, panie, którzy ledwie żyjąc, jeśli nie tracą, to też nie zarabiają. Takich po większej części obsiada i objada familia liczna, albo wysysa jaki proces nieszczęsny. Już im nawet nie myśleć o zarobku, byle Pan Bóg dał nie stracić. To są biedni, których żal tylko. Ale są tacy, którzy tracą z dobrej woli, przez próżniactwo, przez fonfry w nosie. Zdaje im się, że powinni utrzymywać dom na takiej stopie, jak zamożni sąsiedzi, jeżdżą poczwórno, jedzą smaczno, śpią długo, a wychodzą — goło — golissime, Mosanie. I dobrze im tak. Sami sobie winni. Niechaj na possessyi ogrodów nie zakładają, domów nie budują, elegancje porzucają, niech pracują, o jutrze myślą. Ci panowie dzierżawcy eleganci, kończą bardzo smutnie; z jednej possessyi przechodzą na drugą, zawsze obwiniając czasy i okoliczności, wszędzie jedne popełniając głupstwa, coraz zmniejszając dzierżawę, aż wreszcie zostaną na lasce ludzi i bez kąta. Takich to nie żal, po prawdzie powiedziawszy, bo jak sobie posłali, tak się wypali. Ale pa-trzeć na biedaka, który choruje, pracuje, a tra-

ci, bo go osiadły dzieci, [interessa, nieurodzaj go nęka — wówczas to boleśnie.

Jest jeszcze jeden rodzaj possessora, którego W Panu nie opisałem, dodał stary gaduła — possessor — pijawka. Ten prawda robi fortunę, ale szkaradnym sposobem, uciskiem, nadużyciem, łotróstwem. Jeżeli może, zastawia łapkę na dziedzica, podaje fałszywe pretensye, wynajduje przyczepki, nabywa jego długi, wytrzymuje niedoimki, płaci tradycye i z rachunków, w rachunki, staje się prawie dziedzicem majątku. Jeśli to mu się nie uda, uciska chłopów bez sumienia, pędzi ich do roboty przed świtem, nie puszcza do nocy, zapomaga ich, aby mógł na mocy tego obedrzeć ze skóry, bije, katuje, uciemięża. Widziałem takiego pana, Skobejkę nazwiskiem. Człek to był dobrze podżyły, kawaler, suchy, żółty, wywiędły, kaszlący, uśmiechający się zawsze. Od tego nikt nie wziął pieniędzy za dzierzwę, chyba go nie znał, bo wycisnął chłopów do ostatka, wywrócić umiał kontrakt, jak chciał i zawsze obronną ręką wyszedł na ostatku. Sławne były jego snopy, z których jednego człowiek nie podniósł, a na wóz ledwie się ich pół kopy mieściło i to osie pękały. Sławne były sznury lnu i konopi, odbieranie jaj i kur, osypów, spędzanie na pańszczyznę w nocy, aby jak dzień byli na polu i ze dniem równo do roboty stawali. Co on tam powymyślał, niepodobna opisać i niewarto opisywać, bo to wszystko łajdactwo. Takich dzierżawców teraz u nas nie ma — dodał w końcu stary.

Przebiegałem mu za skreślony rys dzierżawców, do którego dodam jeszcze słów kilka. Ogólnie wzięwszy w towarzystwie nazwisko samo possessora — possessorowej — oznacza kogoś niższego stopnia i pośledniejszego wychowania. Jestże słuszną taka opinia, a raczej uprzedzenie? niewiem. To pewna, że istotnie dzierżawcy, jako ludzie pracujący, dorabiający się, nie mogą mieć kultury umysłowej panów dziedziców. Niemajątni, zakopani

na wsi, nie odznaczają się świetną powierzchownością; lecz z drugiej strony między dzierżawcami dziś znajdziesz ludzi starodawnej uczciwości, gościnności, obyczajów staropolskich, między nimi może jest najwięcej czytelników polskich książek, bo i oni w długie zimowe wieczory czytają, a żywiej nieraz czują książkę, poezją, powieści, dramat, mocniej się niemi zajmują, niż oziębli, a wielce wykształceni wyższej klasy ludzie.

Między dzierżawcami (uważając ich jak najogólniej) mało jest ludzi, jak to mówią, przyzwolonych, wytwornie się ubierających, mówiących po francusku, czytających Balzaca; ale pod granatowym ich staro kroju frakiem, pod sukienką, w dwa rzędy zapinaną kamizelką, biją serca poczciwe po większej części. Znajdziesz wielu śmiesznych z pozoru; nie śmieć się z nich jednak, póki ich głębiej nie poznasz, a jeśli wolisz cywilizacją poczciwości, od cywilizacji ukłonów i uśmiechów, może w końcu przebacysz im śmieszności, dla cnót.

Dnia 13. Maja 1841.

Szajna Katarynka.

X.

Okazuje się część rynku krakowskiego z kościołem P. Maryi, na wieży kościelnej trębacz grają. Muzyka ma grać zorzę poranną, to jest, melodyą, jaką zwykle trębacz na maryackiej wieży co rano na cześć N. Panny z dawnej fundacji grają. Jest to ta sama melodya, na jaką się śpiewają pieśni pobożne: „Do Ciebie Panie etc. Królowa Polska” etc. i inne.

Oto świątynia jest Pańska,
Ucieczka w ciężkiej potrzebie;
A nad nią świeci na niebie,
W koronie wieża Maryańska.
I z tej najwyższej wieżycy
Na chwałę Boga-Rodzicy,
Grają pieśń ranną trębacz,
A w sercu z cicha coś płacze.

Witaj Królowo przestworza!
 Kosztowna perło topieli!
 Najczystsza gwiazdo z gwiazd morza,
 Na jasnej niebios pościeli!
 Miesiąć jest twojem podnożem,
 Gwiazdy niebieski płaszcz szyją;
 Tyś jest nad ziemią i morzem,
 Bądź pozdrowiona Maryo!

XI.

Okazuje się na szkiełku poczet monarchów z rodu Piasta; wedle spraw ich i żywota pieszo lub konno, wolno jeden za drugim się posuwa, a każdy ma w ręku zamię, jego panowanie cechujące. Na czele ich przed Mieczysławem leci orzeł Piastowski: na końcu za Jadwigą unosi się aniół z palmą w ręku i ze zgaszoną pochodnią. Przed pokazaniem szkiełka muzyka ma odegrać kilkakroć melodyę pieśni: „Cześć polskiej ziemi.”

A to są wszyscy Piastowie!
 Nujstarsi polscy królowie. —
 Jak dla pszczoły plaster miodu,
 Tak ich pamięć dla narodu. —
 Każdy niesie do wieczności,
 To, czem kraj swój przyzdobił.
 A co zrobił, to już zrobił,
 Dla ojczyzny w poczciwości.
 W czei zostaną Piastów trony,
 Nikt się nie tknie ich korony!
 W Bogu legli między swemi,
 W świętem łonie polskiej ziemi!

Wieczne odpocznienie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

XII.

Na szkiełku wyobrażenie Puławskiego, jak z dobytą krzywą szablą i w starym polskim stroju jedzie na czele hufu, podobnie ubranego i uzbrojonego. Muzyka gra: „Stary marsz polski.”

A to jedzie po błoniu,
 Pan Puławski na białym koniu!
 A tuż za nim jada chwaty,
 Te barskie konfederaty!
 W których Pan Bóg cnotę zrodził,
 Kiedy Polskę wróg nachodził.
 Oj! ostatni to ostatni,
 Polskiej szlachty poczet bratni,
 Co kraj zlała krwią poczciwą,
 I walczyła szablą krzywą.

Ufnem sercem w łaskę Boga
 Szła za głosem prawdy z nieba.
 Nie pobiła ona wroga,
 Ale legła jak potrzeba. —

XIII.

Na szkiełku okazuje się plac miejski, gdzie śmieci wyrzucają; na ten wypadają: szewczyk warszawski z bótami w ręku; lampart, to jest, ulicznik lwowski z papierowym latawcem, czyli orlem i pauper krakowski z garnuszkciem i książką. Muzyka gra:

•Mam kaftan mam, ale podarty,
 •Da Pan Bóg zdrowie, będą rękawy nowe.

A to jest trójca dobrana,
 Szaro gładko obszarpana!
 Szewczyk warszawski na przedzie,
 Za nim lampart lwowski jedzie; —
 Jedzie jedzie lampart lwowski
 I pauper krakowski.
 Całą Polskę bies się wodził,
 Od chałupy do chałupy,
 Sto par nowych bótów schodził,
 Nim tę trójcę zwiódł do kupy.
 Z bóćkami szewczyk leci,
 A z latawcem lampart lwowski,
 A z garnuszkciem z miejskich śmieci,
 Leci i pauper krakowski.
 I stanęli i już radzą:
 Jak się komu w znaki dadzą?
 A co ty zbroić?
 Jak figła wystróić?

Jedzie doktor z wielkim nosem;
 Gwizdnę-ż mu w ucho kosem.
 Idzie stara panna kaczką;
 Poczestujmy ją tabaczką!
 Za straganem baba siedzi;
 Pędźmy babę do spowiedzi.
 Jedzie strojno głupiec stary;
 Plujmy-że mu do landary.

Drugi mówi: ej stój bracie,
 Doktor chowa trzcinę na cię;
 Panna ciśnie piaskiem w oczy,
 Baba z pyskiem cię obskoczy,
 A batogiem furman skroi. —

Trzeci mówi: tam żyd stoi,
 Jedna ręka nikt nie wyda,
 Więc co, wiecie, bijmy żyda.

Chrześcijańska pijawko!
 A żydzie niecnoto!
 Co naszą krew pijesz,
 I nasze jesz złoto!
 Coś męczył Chrystusa!
 Co zdzierasz wiarusa,
 I chłopcy i pany!
 My wierne chrześciany,
 Grzbiet odrzem ci za to,
 I okna wybijem,
 A potem cię wodą
 Święconą obmyjem,
 I brodę wymaścim słoniną!

XIV.

Widać na szkiełku góry Krzemianki pod Krakowem; między nimi jedna zwana Carowa z kopcem Krakusa. Widać też Wisłę, a na Wiśle most: po moście i koło gór mnóstwo widać ludzi, jak to zwykle bywa, gdy lud z Krakowa na trzeci dzień Wielkiejnocy idzie na Krzemianki na zabawę, „Rękawka” zwana. Muzyka gra:

•Ej sama ja sama, jak lipina w polu,
 •Ej nie ma mię nie ma pożałować komu.

Zielona trawa zielona,
 A stara Wisła spieniona.
 Hen na podgórzu Rękawka
 I wielkanocna zabawka.
 A na Rękawkę się sypie,
 Naród z Krakowa po moście;
 Ciesz się narodzie na stypie,
 Bywa Wielkanoc po poście.
 Niby krzemień chłop krakowski,
 Bieda, krzesiwo ze stali;
 A jak się pruchno podpali,
 Znikną z Krakowa i troski.

Zielona trawka zielona,
 Słońce przygrzewa z zachodu,
 Na kopcu pełno narodu,
 A stara Wisła spieniona.

XV.

Widać na szkle obraz królowej Bony, wielkiej, tłustej baby, bogato strojonej, a za jej fartuchem ciągnie się chmara gachów. Muzyka gra:

•Ej szła, bo ją wiedli,
 •Miała placek, to jej zjedli.

A to idzie stara Bona,
 Zygmuntowa żona?

Wszetecznicza nie potroszka,
 Z piekła rodem Włoszka.

Ci, co razem z nią żyli,
 Tak to o niej mówili:
 •Stroi baba firleje,
 •Kiedy w czubek naleje.

Własną otruła synowę;
 Skarb trwonila na głowę;
 Wiele zamków posiadała,
 I hulala z gachami,
 Potem Polskę okradła
 I uciekla z skarbami.

Gach wziął swoje, czart swoje;
 Po jej zamkach dziś straszy; —
 Panie biesie, weź twoje,
 Lecz nie tykaj nam kaszy. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prelekye Mickiewicza.

(*Ciąg dalszy.*)

Otwarta ta mowa nieobrażała papieża, przeciwnie, odpisuje mu Ojciec święty: „przybądź tu sam i obacz, co czynię?”. Jakoż w rzeczy samej Hoziusz udał się do Rzymu, gdzie go papież zaszczycił godnością kardynała mianował legatem apostolskim, do przewodniczenia soborowi trydenckiemu.

Hoziusz był głównym sprawcą trydenckiego soboru: przekładał monarchom, że najważniejszym interesem czasu tego, było załatwić spory religijne, naczelnikom zaś sekt zaręczał, iż zarzutów ich bez odpowiedzi nie zostawi. Nie łatwo mu przyszło, skłonić do myśli soboru Hiszpanią i Portugalią, mało tam jeszcze przywiązywano wagi do tego popędu, jaki luteranizm obudził był w umysłach; jaśniej kwestyą tę pojmował cesarz Karól V. Hoziusz długo przewodnicząc soborowi trydenckiemu, rozstrzygnął najzawilsze zadania.

Lecz czując się przedewszystkiem, Polakiem wraca do ojczyzny, tem bardziej, że jego własne biskupstwo zalał był luteranizm. Pisząc do jednego ze swych przyjaciół, powiada: „Tak duszą i ciałem Polakiem jestem, że się niekiedy sam łapię na gorącym uczynku polakieryi, gwarząc prawie bez końca i od rzeczy.”

Za powrotem swoim do Polski starał się koniecznie wprowadzić w wykonanie uchwały trydenckie, w czem nadzwyczajnego doznawał wszędad oporu. — Niemieckie miasta w Prusiech najdowały w luteranizmie pewien moralny dla siebie węzeł. — Niemając żadnej własnej narodowości, niegdys uległe zakonowi teutońskiemu, nareszcie

opasane otaczającą je w około ludnością słowiańską, uległy władzy biskupów polskich. Lecz po przyjęciu sektarskich nauk, zaczęły samodzielnych obierać sobie intendentów i podintendentów, którzy bez odwoływania się do stolicy polskiej, sądzili duchowne ich sprawy. Wszystkie te niemal miasta posiadały, wedle magdeburgskiego prawa własne magistratury. Naturalnie więc, magistratury te skwapliwie nader chwytaly się okoliczności, które je do godności krajowego rządu podnosiły. Zbuntowani ci mieszczanie nieraz grozili Hoziuszowi, lecz on gardząc niebezpieczeństwem, wstępny, że tak rzekę, szedł bojem — wyciągnął na publiczne rozprawy teologów i urzędników miejskich, a czystością swych obyczajów, surowością żywota jednal sobie poszanowanie u ludu: i tym sposobem uratował przynajmniej część pruskiego kraju.

Poświęcał Hoziusz część swej niezmordowanej pracy na posługę stanu. Mianowany posłem polskim, ułatwiał on najważniejsze interessa, jakie mogły zachodzić między Polską, a dworami francuzkim, portugalskim, cesarskim i papieżkim.

Skończył dni swoje we Włoszech, bolejąc wielce nad tem, że niezdolał zupełnie odepchnąć od Polski religijnej reformacyi — głównie zaś lękał się niebezpiecznych jej dla Polski skutków. Przed śmiercią zaprowadził w Polsce Jezuitów, którym walkę z reformą przekazał. Dobrze bardzo oceniając Hoziusz stan Polski, widział on w luteranizmie i kalwinizmie, do których tak lgnęli magnaci polscy, polityczne raczej sekty, i dla tego walkę z temi sektami powierzył politycznemu zgromadzeniu, jakim byli Jezuiti.

Historja Jezuitów należy do historyi powszechnej; nigdzie wszakże Jezuiti nie mogli ważniejszego, jak w Polsce zająć stanowiska. W Polsce pole działania odpowiadało duchowi jezuickiej instytucyi — walczyli oni z reformą własną jej bronią, wciskając się do możnych domów, wyganiali z nich sektarzy, a opanowawszy zamki i pałace, łatwo rozciągnęli swe panowanie do miast i wiosek. Uparcie walcząc dwa całe wieki, nie stoczyli oni żadnego walnego boju, a jednak wytepiłi wszystkie sekty, zagarnawszy publiczne wychowanie, zagarnęli zarazem ukonstytuowaną w Polsce władzę. Jezuiti oddali Polsce wielkie polityczne posługi, jak równie wyrządzili jej wielkie szkody. Co zrobili, to było wpływem ich instytucyi, co zaś złego, to było koniecznem następstwem ich położenia w Polsce.

Jezuiti przysłużyli się naukami i umiejętnościami, jako środkami działania. — Wiadomo, że w Chinach, gdzie było potrzeba pokazać swą wyższość w naukach przyrodzonych, ratunek w nich znajdowali Jezuiti, — jak równie udoskonalili organizacyą i rolnictwo w Ameryce. Aby panować w Polsce, nie trzeba było nauki, dość by-

ło pokonać płochość, ciekawość, lenistwo i zmysłowość. Jezuiti też w Polsce surowi własnem swem życiem, pobłażali lenistwu możnych, znosili nawet opilstwo, aby tylko głównego swego dopiąć celu, to jest, uspić nieprzyjaciół kościoła. I dla tego, skoro tylko nowa filozofia stanęła do walki z ich instytucyą, znaleźli się oni bezbronnymi w Polsce, gdzie zginął nałóg myślenia, a gdzie przeto nikt nie umiał odpowiedzieć na śmiało kłamstwa nowej szkoły, potwarzającej całą przeszłość.

(Dokończenie w następującym Numerze.)

PRZEGLĄD.

Poeta i Świat.

drugie wydanie, nakładem Zawadzkiego. Wilno 1841.

Z przerobionego i poprawionego tego wydania następujący wyjątek, nie znajdujący się w edycyi pierwszej, da wyobrażenie o udoskonaleniu tego dzieła.

POETA.

Nie wiem dla czego prawdziwy poeta jest nader rzadkiem zjawiskiem, a fałszywi poeci są tak pospolici? Na dziesięciu uczniów, którzy jako tako nauki skończyli, pewnie dziewięciu osiadłszy na wsi, nosić będą nazwisko poetów, do czego da im prawo ułożone powinnowanie, zagadka lub piosnka. Widać ztąd, że łatwiej jest skleić wierszyk, nie obrażający bezsenssem, niż cokolwiek bądź innego. Lecz gdy gdzieindziej taki wyskok, nie nie znaczący, weale w życiu człowieka nie jest stanowczym, u nas podobno tylko, gdy kto dwa wiersze sprzął, już się poetą zowie i w rozumieniu swoich parafianów uchodzi za olbrzyma, za istotę wyższą, za wyrocznię niemylną w rzeczach literatury. To dowodzi, jak łatwo nasza mało czytająca publiczność imponować sobie daje. Niema podobno okolicy bez takiego poety. Do niego należy uczyć każdy wypadek wierszem pochwalnym, lub wyszydźć satyrycznym, on podaje potomności ośmiodziesięciogłoskowemi wierszami wiadomości o wszystkich urodzinach, chrzcinach, uroczystościach, on poetyzjuje i unieśmiertelnia awanturki miłośne i t. p. Jestto zaiste ważna na wsi figura. Spójrzy, jak oni go się boją, jak mu się kłaniają, jak go poją, jak go karmią, jak go grający rolę mecenasów protegują! A ów, jakże czuje wielkość swoją, jak się dmie, jak się puszy, jak się sroży, jak stąpa, jak wielkimi łokciowemi wyrzami zdania swoje nieomylnie wyraża. Spójrzy tylko, a poznasz go zaraz w tłumie. Uśmiechają się wszyscy do niego, witają go, młodzież go otacza, starzy grzecznie kłaniają, co tyl-

ko powie z reguła, przyjmują za doskonałe i śmieją się, śmieją, poklaskują! Szczęśliwy! Wprawdzie, gdzie tylko za drzwiami wyjdzie, różnie, tam różnie o nim gadają, ale w oczy taką mu cześć oddają. Czyż nie dość? — Poeta wiejski dziś jeszcze jest w zupełnej i szczęśliwej niewiadomości obecnego stanu literatury. Jego biblioteka składa się z przeszłego wieku wysoko uwielbionych arcydzieł: a mianowicie z Krasickiego, Węgierskiego, Przybylskiego i t. d. Nic nie wie, co nas dzieli od tej epoki, jak się zmienił smak, jak się różnią wyobrażenia i potrzeby umysłowe; zdaje mu się, że jeszcze żyjemy w tych czasach, kiedy jeden wierszyk okolicznościowy, jedna dowcipna bajeczka dawała nieśmiertelny wieńiec i szumny tytuł poety. Niewinny nasz poeta wiejski cały jeszcze się dzieli między sielanką o Filidzie, a satyrą na Mnichów. W ciągu rozmowy nie posłyszysz od niego o niczem, jak o klasycyzmie i o klasycznych autorach. Ani się biedak domyśla, jak nisko spadła ta kwalifikacya! jak drobnym widzimy ten wiek, który się u nas cały wyraził w literaturze, zwanej klasycyzmą (XVIII. wieku). Chcieli co pochwalić nasz poeta? nazwie klasycyzmem. Zdarzyło mi się słyszeć o babach wielkanocnych, doskonałości klasycyzmu i o klasycyzmie kiełbasie. Wdawszy się głębiej w rozmowę z nim, poznasz łatwo, że nie ma zmysłu literatury nowej, prawdziwej, że nie potrafi uczyć nic, oprócz owych wyrobów konwencyonalnych, zwanych klasycyzmami, do których przywykł, a które nie malują, nie wyrażają, chyba dziwaczny jakiś świat urojony. Ale też jak nie czuje nawet literatury nasz poeta, tak i wszystkiego świata prawdziwego (którego ona jest lub przynajmniej być chce odbiciem) nie przyjmuje. Żyje on jeszcze w konwencyonalnej sferze, i towarzystwie takich postaci, jakie pospolicie spotykamy w jego ulubionych dziełach. Ludzi widzi ze strony takiej, z jakiej mu się najpodobniejszymi zdają do Filid, Damonów i Kompanii. Dzieli ich, jak ś. p. ośmnastego wieku moralisci i powieściopisarze, jednym cięciem na złych i dobrych, na zbrodniarzy i aniołów. Świat powieści Marmontela wydaje mu się najprawdziwszym światem. Do tego dodajemy, że poeta wiejski splamiłby usta swoje, gdyby jedno słowo pospolite i proste, lub wyrażenie naturalne przez nie przepuścił. Co znowu! on się nigdy nie odzywa, nawet do sług swoich, tylko stylem wyrocznym z trójnoga najwyższymi wyrazami, najdziwniejszymi metaforami. Jego listy — o nieoszacowane jego listy, bogatsze są w wykrzykniki, znaki zapytania, niż w myśli. Biedny poeta, smaży się na nic i gęsto osala je wierszykami. A że mu nieraz braknie konceptu, zdarza się, że do dwóch i trzech osób słowo w słowo jedno napisze. Ale

cóż naturalniejszego? Przez dobrowolne odosobnienie się i zamknięcie w sobie, w którym się trzyma wiejski poeta, pozbawiony porównania z innymi, stale się bardzo wysoko ceni. Dla niego, jakby od czasów Krasickiego nikt nic nie pisał; jeśli mu co nowszego wpadnie w ręce, przerzuci, nie zrozumie, a sądząc z dawnego stanowiska, utwierdzi się jeszcze w mocnym przekonaniu, że po Krasickim on tylko jeden wielki. Z dumą więc i powagą, pewien siebie, wyrokuje o nowszych pisarzach, jak pedagog o swoich uczniach.

(Dokończenie w następującym Numerze.)

NOWINY LITERACKIE.

Nakładem P. hr. Edw. Raczyńskiego wyszły w Poznaniu w drukarni Orędownika 1841. *Poezye Bohdana Zaleskiego* Tom I.

Drugi Tom poezyi Bohdana Zaleskiego, zawierający *Poezye Religijne*, drukuje się w Poznaniu. Tom 3ci, mieszczący drugą część *Poezyi Religijnych*, podany jest do druku w Paryżu. Czwarty tom zawierać będzie *Potrzeba Zbaraska, Hetmańska Duma*. Do Orędownika nadesłał pan Bohdan Zaleski: Urywek z powieści pod tytułem: *Maryan Bukat*, czyli *Piewca Ukraiński*, który w Numerze 43. drukować się zacznie.

W księgarni Mittlera wyszło tu w Poznaniu dziełko pod tytułem: *Kwiaty*, czyli wykład znaczeń blisko tysiąca roślin krajowych i zagracznych w języku polskim, łacińskim i niemieckim spisanych. Ku użytkowi i zabawie płci obojczy ułożył Dr. N. zastępujący u nas zbiory w języku niemieckim znane pod nazwą: *Blumensprache*. W tejsze samej księgarni wyszedł także: *Zbiór rozmów potocznych w języku polskim, francuzkim i niemieckim*.

Wyszedł z druku w Warszawie: *Starożytny teatr polski* p. Wł. K. *Wojcickiego*; druk Zarysów domowego życia tegoż autora nie długo się ukończy.

Nowe książki polskie w Paryżu:

Słowo pociechy, rozmyślnia religijno-polityczne.

J. C. Ostrowski wydaje tłumaczenie francuzkie dzieł Mickiewicza: *Oevres d' Adam Mickiewicz*.

Pan Smolar kand. teol. ewang. w uniwersyt. Wrocławskim, rodem Serb w Wyższej Łuzacyi, wydaje pieśni ludu Łuzackiego, które sam z wielką starannością i poświęceniem zebrał, melodye śpiewane, przeniósł na papier; pod tytułem: *Pieśni horynych a delnych Łuzackich Serbów*, z muzyką i z niemieckim obok tłumaczeniem w Grymie 1841. u Gebharda, wyszedł 1szy zeszyt.

(Dokończenie w następującym Numerze.)

Redakcyja Orędownika: **A. Poplinski. J. Eukaszewicz.**